

Ślimak na krawędzi stali
AUTOR: Andrzej Urbanczyk

Ślimak na krawędzi stali

Samolot linii Pan-Am, lot LI 223 wystartował z San Francisco International o 8.40 z piętnastominutowym opóźnieniem. Do San Diego przyleciał jednak punktualnie o 8.55. Jestem inżynierem, w delegacji, i jak widzicie, stoję mocno na ziemi, nawet kiedy bywam w powietrzu. Mniej więcej nad Big Surf - gdzie ocean klóci się z twardością skał, a samolot w locie do San Diego opuszcza ład - dopiłem mój gratisowy koktajl. Srebrna skrzynka z napisem "Air phone" przyjęła moją kartę kredytową z płynnością ruchu hotelowego boya i zwolniła zatrzask słuchawki. Wybiłem w pamięci numer stoczni 212 355 2100. Szef produkcji Gerz osobiście potwierdził, że pamięta i będzie miał dosyć czasu, by mi wszystko pokazać.

Od błękitnego oceanu sączył się przez okna niebieski chłód. Ale poźólkłe zbocza gór prażyły się już w słońcu. Za górami lśniły trochę nierealne w swej jasności szczyty Sierra.

Miło mieć taką poranną i darmową wycieczkę na koszt Smith and Brown Ltd. Kamera "Canon" przewieszona przez ramię też firmowa, tak samo jak karta kredytowa.

W San Diego upał. Przynajmniej po mgle San Francisco. Niebo jak wydęty plastik, wprost nierealne w swej monotonii. Samochód stoczni już czeka. Kierowca pyta, gdzie odebrać bagaże. "Wygrałeś John - nie ma żadnych bagaży". Gerz pokazał mi najpierw, jak trasują laserowo płyty i jak automat wycina kształty elementów szybciej niż gdziekolwiek indziej. Oczywiście nie chodziło o tę optykę czy plazmę, ale o stwierdzenie, że stocznia ma pod dostatkiem roboty i że według zasady popyt-podaż...

Smith and Brown i ja wiedzieliśmy o tym, a on wiedział, że my wiemy. Więc odmeldował się po godzinie, zapraszając na lunch. Zdjąłem kask, który fundował mej rudej czuprynie parową ondulację. Potem spacerkiem - starając się, jak żaglowiec, łapać skąpe podmuchy wiatru - wędrowałem patrząc na to, na co w obecności Gerza patrzeć nie wypadało. Upał zbratany z hukiem i zapachem zendry dawał darmowy popis swoich możliwości. Chciałem już pożegnać pracujący zawzięcie mimo upału dział gięcia blachy, gdzie stalowe płyty o grubości kilku cali zwijają się jak naleśniki w dłoni wprawnej gospodyni. Niespodziewanie zobaczyłem rzecz niezwykłą. Po krawędzi wielkiej płyty, długości dziesięciu metrów, położonej na aparaturę zginającą wędrował ślimak.

Ślimak - jakaś antyteza stali - nie miał prawa istnieć w stoczni dłużej niż tę chwilę potrzebną na rozmazanie go przez płytę milion razy za ciężką na jego grzbiet. Nie miał prawa, a istniał. Nie tylko istniał, ale szedł śmiało i ufnie po stali, z którą w jakiś fascynujący mnie sposób kontrastował. Widać

czasem jakiś piasek sygnalizuje się w trybie maszyny i błąd w jej precyzji zaowocuje czymś tak niezwykłym jak ten, wystawiający swe miękkie rogi ponad ostrość stalowej krawędzi, nieborak.

Rozejrzałem się. Zachryple pianie bramowej suwnicy zapowiadało następną płytę, którą staranność mechanizmów miała za parę sekund położyć na poprzedniej, kończąc wędrówkę ślimaka małą, moką plamką, którą żar sierpnia odparuje w ciągu minuty. Zanim to nastąpiło, nieomal w ostatniej chwili, złapałem skorupę a wraz z nią gospodarza. Zaraz potem miejsce, po którym wędrował, zniknęło zakryte czterdziestoma tonami stali. Schował rogi, ale część ciała wystawała nadal wilgotną powłoką z muszli. Ta muszla była brunatna, gładka i lśniąca jak wypalona porcelana. Gęstniejącą ścieżką biegły spirale zwojów.

Zastanowiłem się przez sekundę nad jej geometrią i przypomniały mi się muszle zbierane po wyspach Polinezji, kiedy byłem młody. To, dlaczego są tak, a nie inaczej skrzycone, należy do owych bezsensownych dla inżyniera dylematów, jak to, dlaczego uznano, że elektron ma ładunek ujemny, proton zaś dodatni, a nie odwrotnie. Dlaczego Ziemia obraca się w tę, a nie w tamtą stronę?

Coś z owej koncepcji piasku w trybach maszyny czasu, mechanizmu losu i zawodności biegu taśmy przeznaczenia, powracało, gdy niosłem ślimaka w kącie placu, gdzie wśród traw deszcz i czas pokrywały płatami rdzy na śmierć zajęchane silniki okrętowe.

- Pan kogoś szuka? - podniosłem wzrok i zobaczyłem niewielkiego mężczyznę o azjatyckich rysach z termosem w dłoni. Jego angielski był niemal niezrozumiały.

- Nie, nie szukam nikogo - odpowiedziałem - chcę usiąść gdzieś na chwilę. - Proszę tutaj - zaproponował. - Tutaj jest ławka, gdzie przychodzimy podczas przerwy na kawę.

Usiadłem, odmawiając poczęstunku. Nie odmówiłem jednak sprowokowanej moim grzecznościowym pytaniem opowieści: Huonil - jak nazywał się pracownik, co raczej odczytałem z przypiętej tabliczki, niż zrozumiałem z siekanej na sylaby, po azjatycku, angielszczyzny, emigrował z Hongkongu. Tak, oczywiście, z całą rodziną. Nim zrozumiałem, trzymałem już w dłoni kilka zdjęć, z których zapamiętałem radosny uśmiech dziewczynki liczącej chyba nie więcej niż osiem lat. Miała czarne jak smoła mysie ogonki warkoczy i czarne skośne oczy. Oprócz tego w jej twarzy była już tylko sama słodycz...

Na rozmowie z Huonilem przyłapał mnie Gerz, zaniepokojony moim zniknięciem. Wstając z zatopionej w błogim cieniu ławki, podałem rękę Huonilowi. - Do zobaczenia! Bywam w waszej stoczni dosyć często, na pewno jeszcze się spotkamy.

- Na pewno się spotkamy - odpowiedział, łącząc do słów szczerzy uśmiech. Gerz nie rzekł ani słowa, a Chińczyk, kłaniając się raz jeszcze, ruszył ku hali. Piętnaście minut przerwy na kawę było skończone.

Zatrzymaliśmy się jeszcze w biurze, bo szef miał jakieś pilne telefony. Potem dopiero przyjeły nas miękkie, białe fotele ostatniego modelu ford-mustanga. - Jeśli wytrzymasz piętnaście minut, możemy skoczyć na lunch do <<Big Barn>> - zaproponował Gerz. Nie byłem głodny, więc zgodziłem się bez dyskusji.

Młoda kelnerka podała apetycznie przygotowane dania i

zaczęliśmy mówić o interesach. Wraz z dwiema następnymi kolejkami Chabli trwało to niemal półtorej godziny.

- Mister Gerz - kelnerka nachyliła się ku szefowi produkcji - Mister Gerz, ważny telefon ze stoczni. Czy zechce pan podejść, czy przynieść telefon do stolika? - Gerz wstał szybko i ruszył ku recepcji nie mówiąc ani słowa. Dopilem Chabli i uregulowałem rachunek.

- Muszę natychmiast wracać - powiedział tak głośno, że kilka osób z sąsiednich stolików podniosło głowy - bardzo przepraszam... - Wszystko w porządku - poinformowałem - właśnie zapłaciłem, możemy wychodzić.

Ford-mustang połykał ostatnie jardy powrotnej drogi, gdy Gerz zdecydował się przemówić.

- Mam dla ciebie przykrą wiadomość...

- Tak?

- Huonil - ten twój znajomy - miał wypadek. Nie żyje. Został zgnieciony płytą, która w nieprawdopodobny sposób zsunęła się z zawieszenia... Poczułem coś w rodzaju gorąca uderzającego w twarz i nagły skurcz serca. - Proszę iść do biura - rzucił szybko Gerz, niemal biegnąc w stronę hali gięcia.

Jak zwykle bywa, sekretarki, nie ruszając się ze swych wygodnych obrotowych krzesełek, znały już wszystkie szczegóły. I jak zwykle bywa, dzieliły się nimi chętnie. Zaraz po rozpoczęciu pracy, przenoszona na punkt gięcia stalowa płyta oswobodziła się z zawiesia i spadła uderzając płasko na beton hali.

Takie rzeczy zdarzają się czasem w stoczni, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa zdarzać się nie powinny. Każdy element konstrukcji projektowany jest bowiem z wielokrotnym zapasem bezpieczeństwa. Każda ewentualność jest przemyślana. Mimo to widziałem już kiedyś spadającą masę stali o wielkości dużej estrady i grubości "Biblij". Spadała wolno, majestatycznie, czasem smagana falowaniem, które przebiegało po jej powierzchni jak po skórze rozszluszczonego zwierzęcia. W tej powolności spadania jest coś z rzucanej w zastanowieniu groźby. Siła i nieuniknioność... Zakończyłem rozmowy ze stoczną i miałem jasny obraz jak powinno wyglądać działanie Smith and Brown Ltd. w najbliższym czasie. Niewielki samolot lokalnej linii, którym wracałem do San Francisco, stuknęła wśród zapadających ciemności chowanym podwoziem...

*

... Obudziło mnie delikatne szarpnięcie. Za oknem gęstniały światła miasta. - Ma pan nie zapięty pas, powiedział sąsiad, podając koniec z klamrą. Podziękowałem zatrzasnąjąc zamek.

Samolot zrobił skręt o pełne 180 stopni, przeciął zatokę i podchodził na kurs mając pod sobą Redwood City.

- Czy będzie ktoś na pana czekał? - zapytał mężczyzna. - Nie, proszę pana, nikt - odpowiedziałem.

W kilka sekund później koła samolotu musnęły gładko wilgotny od ciągnącej się znad zatoki mgły, runway San Francisco International. Pasażerowie zaczęli wstawać i wraz z sąsiadem przyłączyliśmy się do tych, którym najbardziej się spieszyło.

Przez ogromne korytarze szliśmy teraz obok siebie. - Oto moja

żona - zawołał mój sąsiad, pokazując starszą, starannie ubraną kobietę bez wątpienia orientalnego pochodzenia.

- Samolotem tak rzucało, że mogliśmy roztrzaskać się po drodze
- powiedział podróżny.

- Naprawdę?! - odpowiedziała, bez cienia zainteresowania, odbierając jedną z teczek.

- Przepraszam - odezwałem się - czy zna pani język chiński?

- Oczywiście. Jestem obywatelką Chin.

- Mam pytanie, jeżeli można.

Kobieta, nieco zaintrygowana, skinęła gładko uczesaną głową.

- Co w języku chińskim oznacza słowo Huonil?

- Ślimak - odpowiedziała, spoglądając nieco niespokojnie.

Andrzej Urbańczyk